

Janina Ostrowska-Kin

część I z II

Sygnatura notacji: **N0519**

Data urodzenia: **01.03.1926 r.**

Data nagrania: **24.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Szczecin, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 64 min, część II: 61 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janina Ostrowska-Kin: To był taki okres w Warszawie, że ja jako dziewczynka pamiętam w bramach stały łóżko, szafa, bo nie było czym płacić czynszu, a wszystkie kamienice były prywatne, więc prywatny się nie liczył. Z tym, że tam nie ma pieniędzy i coś takiego. Ja się jako dziecko pytałam rodziców co to jest, że w bramie jest szafa, jest łóżko. I dopiero mi rodzice tłumaczyli, że to są ludzie, którzy nie mają tych pieniędzy na zapłacenie mieszkania. I myśmy się znaleźli w takiej sytuacji. Mieszkaliśmy na ulicy. Jak ja się urodziłam, to się nazywała Wiejska. A teraz się nazywa. Szóstego sierpnia przy placu Zbawiciela 11 i w kościele Zbawiciela jesteśmy ja i brat ochrzczeni. Komunię przyjmowaliśmy na placu Zbawiciela, a także jesteśmy takimi naprawdę Warszawiakami. I teraz pojechaliśmy na te Kresy. Myśmy z tych mieszkań ze Śródmieścia znaleźli się po tych dwóch latach na Czerniakowa, w takim zestawie żydowskich budynków, gdzie już bokiem płynęły ścieki. Wybrukowane podwórka były takimi kocimi łbami. Tymi kamieniami. Warunki były okrutne, naprawdę. No a tata dostał taką pracę, że dostawał miesięcznie 300 zł. Mieszkanie na koszt firmy. No więc bajkowa sytuacja się stworzyła i pojechaliśmy na te Kresy. To był 36 rok, bo tam chodziłam do czwartej klasy, pamiętam do Sarn tę granicę, to była nasza pierwsza taka podróż właśnie do Sarn. W związku z tym, że to była budowa tych fortyfikacji, to każdego roku naszego tatę przenoszono w inne miejsce. Jak się kończył rok szkolny, to miał propozycję już gdzie indziej. Także chodziłam do szkoły i w Kwidzynie, i w salonach, i w Opolu, i w Moskwie także. Tam nas zastała wojna 1939 rok. Pierwszego września przyszedł mój tata z pracy. W ciągu dnia zaczął płakać, że musi nas zostawić, bo cała ta firma, która nazywała się Przedsiębiorstwem Robót nr 13, była tajna. Zawierały całe akta budowy tych fortyfikacji i wyjechali do Rumunii. Nam tata zostawił pieniądze oczywiście, ale te pieniądze nie miały już wartości, bo tam Ukraińcy nic za te pieniądze nie chcieli sprzedawać. No i znaleźliśmy się w tych warunkach z tą naszą drugą mamą. Ta druga mama była osobą wychowaną w klasztorze

w Krakowie. Ale bardzo dużo miała w sobie z klasztoru, to znaczy się popadała w takie historie, że musieliśmy się z bratem 2 – 3 razy dziennie modlić, żeby tata wrócił, tata wrócił i tak dalej. Nie mieliśmy w ogóle warunków, bo tak nie było pieniędzy. Mama nie pracowała. Nasz od razu Ukrainiec z tego domu, gdzie myśmy mieszkali, na rzecz, na koszt firmy, usunął. Kazał się wyprowadzić. I to nie tylko nasza była taka sytuacja. Tam byli ludzie z Kielc, ze świętokrzyskiego, z lubelskiego, bo tam to bezrobocie objęło całą Polskę w 1935 roku i wszyscy, kto mógł i kwalifikowany był przez wojsko, wyjeżdżał na te Kresy. No i tata pojechał z całą całą biuro i tymi pracownikami do Rumunii. I myśmy zostali przesiedleni. Przesiedlono nas wszystkich, którzy tam jeszcze zostali, a byli pracownikami, rodzinami pracowników tej firmy. Do baraków, w których były biura. Więc w każdym pokoju, każdy dostał pokój, jedno mieszkanie i tam żeśmy wszyscy mieszkali i z Lublina, i z Warszawy, i z różnych różnych części Polski. I proszę sobie wyobrazić, że ta moja mama, ponieważ miał też ojciec zaprzyjaźnioną rodzinę w miejscowości MOK, Świr, w nadleśniczym, leśniczym itd., tata tam widocznie miał kontakty towarzyskie. Doszła do wniosku, że zaproponowano jej sprzątnięcie biura nadleśnictwa, prawda. No więc podpisała umowę, że będzie sprzątać, będzie palić w piecu, bo to duży budynek. Taki to było chyba 5 pokoi samego biura, nadleśnictwa, nadleśnictwa, bo leśnictwo to było tam bliżej, gdzie mieszkali w tych barakach, a to było nadleśnictwo. I w tym nadleśnictwie tak się ułożyło, że ja sprzątałam, a mój brat o dwa lata młodszy palił w piecach. No bo to był wrzesień, przyszła zaraz jesień, a na Kresach zima to już jest w listopadzie i to była zima 40 stopni. Myśmy jak wychodzili na zewnątrz, to nawet oddech był zatkany. Zupełnie nie można było oddychać. Taki był mróz i taki śnieg. Straszna zima była, że w piecach, w biurach trzeba było całe noce palić, Podkładać to brzożowe polana, żeby nagrzać biura, jak przyjdą urzędnicy, żeby mogli pracować, bo wywózka z lasu drewna była ogromna, ogromna. Tam są piękne lasy, piękne lasy i tyle. Tak, ja sprzątałam, mój brat palił w piecu i mama miała z tego pieniądze. Mając pieniądze, w tym nadleśnictwie był specjalny sklepik tylko dla tych, którzy pracują w nadleśnictwie i mogli kupić chleb, dostać na przydział jakieś tam owoce suszone zamiast herbaty, bo tu się paliło zamiast herbaty te owoce. Jakieś przyprawowe czy mięso, czy masa, czy masło, czy olej coś takiego. I te pieniądze były na to. Po chleb chodziło się na kartki, 12 kilometrów do kosciola. Ja z bratem mieliśmy poszyte takie ze ścierek plecaki, sznurki i z tego całego baraku, bo to przeważnie byli starsi ludzie, dawali nam kartki, że jakieś i szliśmy tam raz w tygodniu. Do tego Opola 12 kilometrów, bo pociągi nie jeździły, a poza tym myśmy nie mieli pieniędzy, żeby płacić za bilety. Myśmy ze szkoły wracali czasami dla humoru i dowcipu te 12 km do domu. No tak było, tak było i ja z bratem ten lepszy nosił przy nosiliśmy i z tej racji dostawaliśmy jakąś tam pajdę chleba od każdego bochenka. Takie były czasy. A placki? Był taki mróz. Bo tam na Kresach to są takie kopce, piwnice zrobione z takich kopców, więc wymieniało się kilim, prześcieradła, skarpety i chusteczki do nosa za ziemniaki, za mąkę, za kaszę, jeżeli tak, to na zimę zrobiła zapasy moja mama druga. I do tej piwnicy to wszystko wniosła. To tam wszystko zamarzło przy tych mrozach. I myśmy z tych orzechów ziemniaczanych szybko, ja odbierałam, a mój brat starał zanim się rozmrozić, żeby usmażyć placki. Takie były warunki. Proszę pana, proszę panów. We wrześniu 17 przyszli Rosjanie, a 10 lutego już pierwszy transport jechał Polaków na Kazachstan, czy tam nie wiem, bo moja teściowa była wywieziona do Kazachstanu. Ja miałam też męża Słowaka. I proszę sobie wyobrazić, że myśmy wojska w ogóle prawie nie widzieli. Nie było wojska. Był taki fragment w moim życiu, że wtedy, kiedy jeszcze mieszkaliśmy u tego Ukraińca, to przez szosę akurat był bunkier budowany i on był już prawie na ukończeniu. I nasza mama wpadła na taki pomysł, żebym ja z bratem poszła do tego bunkra, że może coś znajdziemy, co się da wymienić czy na chleb, czy na mąkę, czy na kaszę. No i rzeczywiście myśmy z bratem poszli. On miał..., ja miałam trzynaście lat, a on miał

jedenaste lat, bo dwa lata był młodszy. I zeszlśmy na dół. Jedno piętro, drugie piętro, te wszystkie ściany, takie z białego cementu [betonu]. Kable w takim szerokości. Załączane. Biała taka podłoga z cementu. To wszystko był biały cement i na którymś tam poziomie zobaczyliśmy, że są rozsypane takie ćwieki jak mieli żołnierze przed wojną pod butami, że jak szli po bruku, to taki był odgłos, prawda? Ja nie wiem, jak to się je..., jak te gwoździe się nazywały, ale doszliśmy do wniosku, że zbierzemy to zbierzemy i że..., że to się przyda. Będą z tego korzyści. Usiedliśmy na tej betonowej podłodze, Zbieramy te gwoździe, bo one były takie rozsypane, i słyszymy, że ktoś wchodzi do bunkra, wchodzi i idzie po schodach. Patrzymy. Wchodzi dwóch żołnierzy Rosjan, z karabinami, w tych płaszczach. Jak to krytykują? Nie po 3tyg tylko tego i z tymi. Czerwone gwiazdy i ten czubek na czapce, i pytają się nas co my tu robimy? To my z bratem powiedzieliśmy, ponieważ byliśmy dosyć długo na Ukrainie, to ta mowa ukraińska to jest tak zbliżona do rosyjskiej, że jak się mówi po ukraińsku niektóre słowa, to Rosjanin doskonale rozumie. No więc mówimy, że jeszcze zbieramy te gwoździe, żeby na chleb wymienić. No więc ci chłopcy, to młodzi byli tacy żołnierze, zawięli się, poszli zwiedzać widocznie cele nie wiem, czy do góry, czy na dół ten bunkier. I proszę sobie wyobrazić, że tylko myśmy widzieli tych żołnierzy. Natomiast miejscowa ludność nie wiedziała, jak żołnierz wygląda, bo nie przechodził front tamtędy, więc jeździli do Berezy dwadzieścia kilometrów dalej, gdzie dowiedzieli się, że są Rosjanie, żeby ich obejrzyć, zobaczyć. Ja się potem spotkałam z taką sytuacją, jak Francuz przyjechał do nas, on chciał koniecznie zobaczyć Rosjanina, a tu nie ma. Mąż go prowadził po Szczecinie. Mówił, że nie ma u nas Rosjan na ulicach. On nie chciał wierzyć, no bo tam rozpowszechnione było, że u nas dużo jest Ruskich i między nami. Tak, tak, tak. Więc to też taka dygresja. No i proszę sobie wyobrazić, dlaczego powiedziałam te dwa terminy. 17 września i 14 lutego. 14 lutego, jak dowiedzieliśmy się, że na stacji na Ukrainie zatrzymał się pociąg właśnie z Polakami, którzy zostali już załadowani w tym pociągu i jadą do Rosji. Nosiło się przez te okienka wodę czy chleb, co tam kto miał, to poszedł. Dowiedział się, czy przypadkiem nie ma kogoś z rodziny i czy to czy tamto. W każdym razie my jako dzieci widzieliśmy to i przeżyliśmy to. To nie Rosjanie wywozili, to wywozili Ukraińcy, bo cała administracja na Kresach była ukraińska. Przyszli Rosjanie. To był front. Oni byli zajęci frontem, a nie wywózką. Gdzie on by wiedział, że tam był Piłsudczyk? Tam był, bo tam przeważnie byli piłsudczycy na ziemiach. Piłsudski po drugiej wojnie wystąpił wszystkich chłopców, którzy walczyli w wojnie, a byli synami rolników, powiedział: „Każdy dostanie 10 hektarów” i na przykład tak się nie mówiło na Kresach, że jedziemy do do wioski, która się nazywa na przykład, na przykład Wielka Lubawa. Co to za polskie nazwisko? Nazwa, prawda? Tłumacząc na polski to jest polska miłość lub coś. I dlaczego ja o tym mówię? Ukraińcy walczyli tak o Ukrainę jak my w A.K. walczyliśmy o Polskę. Oni byli zorganizowani już przed wojną. Ten, ten trójzqb, ja jako dziecko pamiętam, myśmy mieszkali u bardzo zamożnego Ukraińca, bardzo zamożnego. Miał pszczoły, ule, miał pasiekę, sady piękny, dom biały. Pół domu zajmowali, a oni mieszkali w drugiej połowie domu. Tak że, te sprawy, u mnie i dla mnie to są takie właśnie. Ja dzisiaj rozumiem to, co się dzieje na Ukrainie. Czuję, wiem. I proszę sobie wyobrazić, że potykam się z dużą antypatią, bo ja tutaj, w tym domu miałam, na początku jest takie zejście, takie. Dawniej była kotłownia, dzisiaj tam jest to wyremontowane, bardzo ładne pomieszczenie. Mieszkało 30 osób z Ukrainy, matek z dziećmi. Nie miałam pretensji, ale pomyślałam sobie. Jak u nas była wojna, to myśmy do was nie mogli uciekać. Ale to moje pokolenie tylko tak myśli, moje pokolenie. Bo ja już się zrobiłam taką pacyfistką, że tak jak nienawidziłam Niemców, tak nienawidziłam Ukraińców, nie mówiąc o Rosjanach, bo Rosjanie mi osobiście nie zrobili żadnej krzywdy. Ja się spotykałam z Rosjanami, którzy byli tacy sami jak my, że im nie chodziło o wojnę. Ale tak jak się teraz Ukraina u Rosjan upominała o swoje te ziemie do granicy, tylko do ich granicy. Tak była obiecana im Ukraina przez tych Rosjan, którzy weszli w 1939 roku, i przez Niemców, którzy weszli w czerwcu 1942 roku,

i też powiedzieli: „Będziecie mieli samoistną [samostijną] Ukrainę”. I to był dalszy ciąg. Rozumiecie panowie, dlaczego ja o tym mówię? I nie wiem, czy to się nadaje na mówienie. Nie, nie, nie, nie. To nie jest dzisiejszy klimat. Nie nadaje się do tego. Bo ja nie mówię po to, żeby siać nienawiść czy mieć pretensję do nich, prawda? Taką, jaką ja mam uwagę, nie pretensję, a uwagę, dlaczego oni są u nas, a my nie mogliśmy iść do nich po ratunek jak wszyscy Rosjanie... Ale to tylko moje pokolenie tak myśli, prawda? Moje. Moje dzieci, Moi wnukowie. Mam dwóch wnuków wspaniałych. Tak nie myślą i ja ich nie wyprowadzam z równowagi. Ja im nie robię takiego wykładu jak tutaj panom. Nie. Niech to się już..., myślałam, że to się już, jak to mówi, rzuci za siebie i niech będzie spokój. Żeby już żadne pokolenie nie miało tych okropnych możliwości przeżycia wojny. Bo ja sądziłam, że już jesteśmy w Europie, że już jest ten poziom, że można rozmawiać, będzie polityka, gdzie tych 27 czy 31 państw jest razem, że oni będą wszystko ugniatać, urabiać. Żeby tylko wojny nie było. A tu okazało się co? To co jest dzisiaj? 1942 rok. Przyszli Niemcy na Ukrainę. Niemcy wywiesili takie rozmaite ogłoszenia, że zachęcają na wyjazd do Niemiec na roboty, więc ci co jeszcze tam byli, a mieli możliwość załapania się na ten wyjazd, wyjeżdżali i bardzo dużo osób wyjechało. No ale jak pociąg dojechał do granicy Generalnej Guberni, to ten pociąg robił się coraz bardziej pusty, bo gdzie przystanął, to tam każdy, kto jechał, to uciekał w swoje strony, z których był. I u nas był taki znajomy, główny księgowy tego przedsiębiorstwa. To nie był Polak, to był Czech. Pamiętam, bo on do nas przychodził i z tatą się przyjaźnił. I on się między innymi takim transportem wybrał do roboty i w Warszawie uciekł, ponieważ znał adres mojej stryjki Anki. Poszedł do tej mojej, do braci, do siostry mojego taty. Powiedział, że jesteśmy w takiej i w takiej sytuacji, żeby coś rodzina zrobiła, żeby nas dzieci sprowadzić do Warszawy, bo jesteśmy bez opieki. I ponieważ w Warszawie było tych rodzin chyba z dziesięć, bo jedna babcia miała pięcioro, druga babcia miała pięcioro. Więc skrzyknęli się, zwrócili się do tej rady opiekuńczej, i w ramach łączenia rodzin nas zabrano z Kresów do Warszawy i przyjechaliśmy do Warszawy we wrześniu 1942 roku. Więc przed rzezią. Potem i pani przyjechała z bratem i jej macochą. Tak, i pani macocha. Pani mama na dworcu powiedziała do moich ciotek, że to są nie jej dzieci i ona opiekować się nie będzie. Takie dictum było, że proszę panów, siostra taty wzięła brata na wychowanie, gdzie już dwoje dzieci miała, bo starszy zginął na wojnie. Była wdową po przodownika policji, wdową, wzięła brata, a siostra mojej mamy wzięła mnie do siebie, która była też sama, bo wuj poszedł na wojnę w 1939 roku i nie wiedziała nawet gdzie on jest. Nawet podejrzewała, że jak się ujawniło w Warszawie, że jest Katyń odkryty, to moja ciocia właśnie tam, ciocia moja, u której ja byłam, doszła do wniosku, że prawdopodobnie wujek jest w Katyniu zamordowany, bo mnie próbowała wysłać do takiego miejsca, gdzie wrócił z Katynia, uciekł ksiądz. Może to historii nie znacie, ale tak było, i w Warszawie chciał się spotkać z tymi, którzy podejrzewają, że ci ich mężowie są zamordowani w Katyniu. No i moja ciocia mówi do mnie tak: „Idź, Janeczka...”, ja miałam wtedy szesnaście lat, „Idź, posłuchaj, dowiedz się, czy tam przypadkiem nie ma tego nazwiska Urbańskiego, tego męża”. A ja mówię: „Ciociu, to nieprawda. Rosjanie nie mogli zamordować, bo ja tego nie widziałam, ja tego nie słyszałam, o tym się nie mówiło. Ja mówię, co to musieli Niemcy zrobić”. A on żył, bo po wojnie wrócił do Szczecina. Okazuje się, że był w Rosji. Z Andersem do Afryki trafił i w 1947 roku przyjechał do Szczecina, bo ta ciocia była tu, w Szczecinie ze swoją córką, bo mój ojciec wrócił z niewoli i chciał się zrewanżować za to, że ona się nami opiekowała, prawda? No więc tu taki myk, dygresja. I teraz proszę sobie wyobrazić, że ja też przyjechałam do tej Warszawy. Wychudzona, odmrożone wargi, straciłam menstruacja jako młoda dziewczyna, z anemii. W ogóle byłam pokiereszowana jako młode dziecko, bo wtedy to my byliśmy jeszcze dziećmi. Doprowadzili, ponieważ ta Rada Opiekuńcza w Warszawie opiekowała się tymi dziećmi, gdzie nie było przede wszystkim rodzica, tego, który poszedł na tą wojnę, i matka została sama, bo to i opieka była lekarska i wyjazdy na kolonie. Taka pomoc była charytatywna.

No i mnie doprowadzili jakoś tam do ładu ze zdrowiem. No i zatrudniona zostałam w takiej lecznicy pana doktora Jana Czarneckiego. To był laryngolog, przemiły, kulturalny, wielki patriota i wielkiego serca rodzina. Właśnie w tym gabinecie jako dziewczynę do pomocy, prawda. W gabinecie. I ja tam te dwa lata do Powstania, i dostawałam wyżywienie, bo tam była gospośka, co był bardzo duży i taki zamożni ludzie mieli 7 pokoi. Właśnie w tym mieszkaniu był między innymi i gabinet lekarski, i poczekalnia. Także to było wydzielone. No i tam mnie zastało Powstanie. A jak Powstanie wybuchło, to wszystkie tego rodzaju punkty były zamienione w punkty sanitarne. No i tak ja się dostałam do tego Powstania jako żołnierz Armii Krajowej. Miałam taką zaprzyjaźnioną z rodziną moją rodzinę, państwa..., to był leśniczy, to była rodzina leśniczego. Ale na Kresach wszyscy tego rodzaju leśnicy, czy w ogóle na państwowych posiadach, to byli przeważnie ci z pierwszej wojny. To byli oficerowie, więc mieli w szafach mundury, mieli broń i jak 1 września [1939] była wojna, już wszyscy byli zmobilizowani. Ale w tej leśniczówce, o której będę mówiła, i która tak blisko nas się mieściła, bo nadleśnictwo i pan nadleśniczy to był ktoś, to on miał tam wielką taką osadę, a zalewa się dalej. Ta pani, żona pana leśniczego, leśniczego, pani EGUCKA, została z dwójgiem dzieci dwie dziewczynki. I został praktykant, który przyjechał na praktykę na Kresy do tego leśniczego, leśniczego. Na okres praktyki zastała ją, jego wojna na Kresach. To był młody człowiek, młody, jakieś miał 25 – 26 lat. Jak przyszli Rosjanie, to jak się zaczęły organizować Lasy Państwowe, to jego zrobiono leśniczym na to miejsce, bo on już znał te tereny i tak dalej. I on przyjął. I on jak przyjął to leśnictwo, to zaopiekował się tą panią i jej dziećmi, a ona wzięła mnie do pomocy, bo to były krowy, świnki, indyki, kurczaki, kury. Całe gospodarstwo, bo kiedyś to była poznanianka. Więc była bardzo taka zapobiegliwa. I ten człowiek nami wszystkimi się opiekował, ten młody człowiek właśnie. I kiedy spodobało się Ukraińcom, że ta leśniczówka jemu pasuje i że może to nadleśnictwo wziąć, to tego młodego człowieka wyrzucili na taką małą, odległość jakieś 12 – 15 km, do leśniczówki właśnie na tą Małą Lubań, na której mieszkało tylko czterech Polaków leśniczy, ksiądz, młynarz i nauczyciel. Było ich czterech do brydża i zawsze chodził na brydż. Chodzili na brydża i przynosił właśnie wiadomości, że tak się dzieje, że to jest armia, że to, że tamto. I ja już byłam w to... Dlatego na pana pytanie muszę odpowiedzieć. Już byliśmy zorientowani. I teraz proszę posłuchać tego, co się stało. Ta osoba przyczyniła się do tego, żeby nas do tej Warszawy wysłać jako dzieci bez opieki, prawda? Bo to były te kontakty z Warszawą. To właśnie ten młody człowiek to wszystko załatwił. Mało? Ja się dowiedziałam już będąc tu w Szczecinie w 1946 roku, że on tak też załatwił panią Bogucką z dziećmi, ponieważ ją wyprawił do Częstochowy, ponieważ jej mąż, ten właśnie leśniczy chyba oficerem, był w nie wiem w jakiej randze, bo ja jego munduru nie widziałam, a poza tym nawet nie widziałam, to bym nie wiedziała w jakiej one się randze. Wyszłam do Częstochowy i on został sam na tej leśniczówce. Ta wioska miała dwieście numerów. Na Ukrainie to jest taka wioska. Prosta ulica, dom przy domu, dąb, tu las, druga strona to las. A nas tylko czworo, czworo Polaków, cztery rodziny. I teraz proszę sobie wyobrazić, on był taki wyrozumiały, bo to było nie wolno wypasać krów w lesie, nie wolno było chrustu zbierać, nie wolno było drzewa wycinać i tak dalej. Na wszystko przymykał oko, bo wiedział, że ta wojna musi się skończyć, a nie chciał się narażać tam, na tych wioskach. I co zrobić? Jeździł na rowerze i niczego nie widział. Ale jak przyszedł 1942 rok, jesień, jadąc rowerem zrzucili go do rowu i piłą urwali mu głowę. To wszystko opowiedziała mi pani, żona sekretarza nadleśnictwa. To był pan Sokołowski Bronisław. Ta pani była z Wilna żoną pana sekretarza. To był starszy pan, dlatego nie poszedł do wojska, bo on taki pamiętam, był już siwy w 1939 roku. Natomiast ta pani była bardzo młoda, bardzo ładna, i oni wyjechali, i wyjechali. Nie wiem, w jaki sposób, że ona odnalazła mnie tu w Szczecinie, tu w Szczecinie, bo znalazłam się w szpitalu na Unii Lubelskiej w latach..., chyba 1947. Ja już byłam tu, w Szczecinie. Przyszła do mnie kartka pocztowa, że koniecznie chciałaby się ze mną widzieć, żeby odwiedzić ją w szpitalu, i właśnie w tym szpi-

talu od tej pani Sokołowskiej tego się wszystkiego dowiedziałam, co panom powiedziałam, po wyjeździe swoim. Co się stało? Nie było tak. Bo mnie tam już nie było. I jeszcze powiem panu, skąd sympatia może jest nie to, że sympatia, ale takie zrozumienie do Rosjan, do tego nadleśnictwa, w którym żeśmy tam pracowali z bratem, tak to nazwijmy. W pewnym okresie przyjechał Rosjanin. Nadleśniczy, bo tylko był sekretarz, nie było technika i nie było nadleśniczego. No więc przyjechał nadleśniczy Rosjanin. Bardzo przystojny młody mężczyzna w cholewach, takich jak oficerowie u nas chodzili. Ubrany tak przyzwoicie, bardzo taki przyjemny. Tak się zainteresował wszystkim życzliwie. I na ogół tam, na Kresach, był taki zwyczaj, że jak się Rosjanin gdzieś podobno dostał, to wszystkich wyrzucał, bo wszystko zajmował. Natomiast ten doszedł do wniosku, w porozumieniu z panem sekretarzem Sokołowskim, że on tylko jeden pokój potrzebuje dla siebie. Tak. I jeden pokój dla tego technika Rosjanina, który tutaj będzie. I Okazało się, że po prostu z tej puli biurowej, nie z jego mieszkalnej, bo to był jeden budynek, nadleśnictwo i mieszkanie sekretarza. Więc on tylko to jedno, jeden pokój. I właśnie technik też jeden pokój. Ale to wszystko się chodziło, przechodziło przez biuro. Tak że ci Rosjanie nie mieli kontaktu z tą częścią prywatną, prawda? Więc jak gdyby wzbudzili tacy szacunek do siebie, że pewne rzeczy traktują bardzo właściwie wtedy. I teraz to się okazuje, do tego nawet ten nadleśniczy sprowadził żonę z takim maleńkim dzieckiem, i też w tym jednym pokoju mieszkał z nią. Natomiast to dziecko już mi dawało jako dziewczynce takiej 15 letniej informację, że to dziecko jest takie nie ubrane, nie higienicznie chowane, prawda? Już, już ta pani była kimś innym. Nie to co ten pan nadleśniczy, bo on nawet był już jak nasz. Poznał mnie i brata przez to, że on przez ścianę widział, że ja sprzątam. Brat pali w nocy, siedzimy w nocy, w nocy oboje wkładamy te polana, żeby nagrzać biuro. To on się nami zainteresował i pyta się tak: „Słuchajcie Anka, czy wy macie mamę i czy macie tatę?”. Ja mówię, że tata poszedł na wojnę, a mama modli się, bo ona się ciągle modliła na wszystkie odpusty, chodziła na wszystkie msze, wszystko, wszystko, co tylko się związało z Kościołem. To właśnie była taka ustawiona. On mu zawsze mówił i pytał się, czy wy macie co jeść. I jakoś tak zawsze się pytał. Słuchaj Nina, on do mnie nie mówił Nina, czy imię jej? Czy to kochać? A ja mówiłam: „Tak, tak.”, to on tam mnie te kartki dawał do tego sklepu. Ja chodziłam z tymi kartkami i dodatkowo dostawaliśmy z bratem, ponieważ była pensja wypłacana, prawda? Ja jeszcze potem nauczyłam się, że wystawiałam kwity wywozu z lasu na drewno kozakom i tak dalej, więc taka byłam bardzo zręczna i to docenił. I stąd u mnie prawdopodobnie ten fakt z tego bunkra. I to ta opieka w tych latach od września do czerwca następnego roku. Bo to były prawie dwa lata 1939 jeden i 1941 – 1942 [1941] do czerwca, prawda? I to się wszystko działo, co ja panom zaraz powiedziałam. Tyle historii było. Już jestem w Warszawie. I ja wiedziałam, że będzie Powstanie, bo już byłam 1942, prawda, od września trzeci [1943], i w czwartym [1944] wybuchło Powstanie. A ja jak przyjechałam do Warszawy i byłam u cioci, to trafiłam do swoich krewnych, całej młodzieży i oni się tam mną zajęli. Tak jak i z bratem spotykaliśmy się. Miałam go tutaj. Mam brata. Zdjęcie z Powstania, który miał 23 lata. Stryjeczny brat należał do AK Myśmy już wiedzieli, bo myśmy byli zniewoleni... Ja dopiero jak przyjechałam do Warszawy, to ja zobaczyłam, co to jest okupacja. Ja tego tam na Kresach, oprócz głodu i tego braku ojca, to myśmy jak wszyscy, ale nikt nas tam nie łapał, nie wyzywał, nie, nie strzelał. A wywózki były, bo wszystko było tylko albo patrioty. Chodziło o to, żeby obsadzać Ukraińcami te wszystkie majątki, bo te wioski to, tak jak panu powiedziałam, to nie były wioski ukraińskie, tylko były wioski... Zawsze się mówi; „O, jedziem, jedziemy do piłsudczyków”. Bo całe wioski były obsadzone tymi właśnie młodymi ludźmi z pierwszej wojny. To były wioski piłsudczyków [osadników wojskowych]. Tak już się nie mówiło, że tam jakaś inna nazwa tylko się nazywało. I oni się właśnie załapali na te wagony, na te wpisy, majątki. Moja teściowa właśnie była wywieziona do Kazachstanu. Męża matka z dwójkiem dzieci, bo mąż był najstarszy, bo poszedł na wojnę. No tak, że teraz ten rozdział już jest za mną. A do War-

szawy jak przyjechałam i mnie powiedziano: „Nie wychodź, bo cię złapią i wywiozą do Niemiec”, to możecie sobie wyobrazić, jak ja mogłam się poczuć mając 17 lat. Że jak ja stamtąd wyjechałam, to teraz pojedę do Niemiec i będę znów tam przy burakach robiła? A już się nauczyłam doić krowy. Po Powstaniu byli wszyscy zaskoczeni, że jak to ja z Warszawy powstaniec, a umiem pójść i wydoić krowę, nie znając mojej przeszłości. Tak że, tak że wiedzieliśmy, wiedzieliśmy, że to się musi skończyć. Proszę pana, w 1942 r. na Wielkanoc chyba był pożar Getta. Ja tak blisko tego mieszkalam, że jak wyszłam na balkon, ja wszystko co mam w książce to widziałam, jak się pali, jak się pali. Getto i ludzie w nim się palili. I wiedziałam, że moja ciocia ma gdzieś kogoś, komu przynosi jedzenie. I okazało się, że jakąś znajomą Żydówkę gdzieś Malinową miała, i prawdopodobnie też w pobliżu, bo mieszkaliśmy na [ulicy] Zgoda, wie pan. Panowie, wiecie gdzie jest Zgoda w Warszawie? Początek Złotej, Plac Napoleona, a dzisiaj Powstańców Warszawskich. Bo duży przeskok teraz w tym miejscu, gdzie stał ten mój dom, w którym mieszkalam. To jest taki czarny wieżowiec, wielki. A od strony [ulicy] Przeskok jest sąd, jest cały blok takich domów, ulica budowana za Zgodą. Przeskok i Szpitalnej odbywa się co kwartał. Myśmy tam właśnie mieszkali i teraz był skwer, taki duży „Dom pod Orłami”. On jest nie zburzony. Jest tam bank, był duży skwer i ulica Jasna. To był taki trójkąt. Był piękny duży trawnik. Teraz jest parking w tym miejscu. Myśmy w tym miejscu, gdzie był ten skwer, paliliśmy ogień. Zrzuty odbieraliśmy w tym miejscu z samolotu i na tym trawniku chowaliśmy kolegów. Zbieraliśmy płyty z chodników, żeby pochować powstańców. To już było we wrześniu, bo sierpień to był taki łagodny. To była euforia. Tak gdzieś do piątego, szóstego sierpnia, dopóki z Woli nie przyszli pierwsi uciskani uciekinierzy, przeważnie kobiety z dziećmi, z tobołami. Trzeba było się zaopiekować, gdzieś ulokować w piwnicy. A nie było to łatwe, bo te piwnice już były zajęte przez lokatorów i w tych piwnicach to były warunki okrutne na mieszkanie, na mieszkanie, bo wszyscy bali się wchodzić na piętra, albo bombardują krowy. To taka krowa była postawiona jakbyśmy mówili na tą wyrzutnię kolejową, która tak skrzypi jak krowa. I wtedy można było mieć tę informację, że trzeba się kryć. I wszyscy mieszkali w piwnicach i w tych piwnicach byli i ranni, i dzieci, i niemowlęta, i kobiety. Jedne się modliły, jedne płakały, jedne prowokowały. Większość nie chciała dopuszczać obcych do piwnicy, prawda? Trzeba było tym się zainteresować, trzeba ulokować. Trzeba było w jakiś sposób... To był pierwszy sygnał i jak, jak nam powiedziano, co się dzieje na Woli... Myśmy w Śródmieściu nie mieli tego w sierpniu tej wyobraźni wiemy. Wiedzieliśmy, że Starówka się broni. Pod koniec września sierpnia już ze Starówki zaczęli przychodzić do nas kanałami właśnie na Warszawską, na róg Nowego Świata. Ja tam miałam placówkę i też mam zdjęcia. Więc tu już się zaczęło to przerażenie, to przerażenie, że już nikt nam nie pomoże. A mówiło się, że pomagali, będą pomagać. Anglia gotowa? Amerykanie gotowi? Przecież to nie my wywołaliśmy to Powstanie. To zdecydowali ludzie, którzy przeżyli już dwie wojny. Generałowie. I jak ja czytam tą historię? Dlaczego do tego doszło? To rzeczywiście oni byli. Dzisiaj mogę powiedzieć. Prostym słowem zdradzeni czy zdradzeni, bo był rozkaz. Jednak Londyn ostatecznie wydał polecenie, żeby Powstanie się odbyło, chociaż nie jednogłośnie, bo okazało się, że byli tacy wśród nich z tego zespołu, że prosili, żeby to odwlec, że nie ma broni, że jeszcze jest słabo przygotowani, nie są zorganizowani. Najbardziej mówiono o tym, że brak broni. Brak broni. To wcale nie od nas zależy, że wojna jest, czy wojny nie ma, to zależy od garstki osób. Ja od 1942 roku jak byłam w Warszawie, to byłam tak przerażona, że nie wychodziłam na ulicę, bo moi rówieśnicy warszawiacy to po pracy z motoru wiedzieli, że jedzie buda, która będzie łapać z ulicy ludzi i wszystko się chowało. Ja natomiast takiego czegoś nie umiałam odróżnić. Prawda? I bałam się wychodzić, bo tak bałam się, że mnie znów złapią i wywiozą do Niemiec. Wiedziałam, że tata jest w niewoli, brat jest u cioci, niedaleko na Marszałkowskiej mieszkała 34. Tam, gdzie jest teraz MDM. Ja byłam na Zgoda, więc byliśmy blisko. Nas w rodzinie, tak jak powiedziałam, było młodych bardzo dużo, a wszystkie rodzi-

ny były tylko kobiety. Nie było nikogo z mężczyzn. W naszej rodzinie wszyscy już byli albo nie żyli, albo byli na wojnie, bo jeden stryj, który był ochotnik w pierwszej wojnie u Piłsudskiego, Jakub to był do śmierci u Piłsudskiego w Belwederze, bo tam była jakaś jednostka konna i on był komendantem tej jednostki konnej w Belwederze, ale już nie żył, bo chyba w 1936 roku był na wakacjach w Radzyminie u swojej siostry i utopił się w czasie wakacji. Wskoczył do wody, podobno nie wypłynął, bo dostał skurczu. I właśnie tak. Tadeusz, stryjek Inka miała dwóch synów i oni byli z tymi starszymi moimi braćmi, którzy nas wprowadzali w życie. Rodzice jednak wychowywali nas patriotycznie. Nam się bajek nie śpiewało, nie czytało nam. Tata pamiętam, opowiadał jak był cholera, jak się zgłosił, jak miał szesnaście lat, jak miał siedemnaście. Co robił zanim poszedł na wojnę za nim, to o takie rzeczy uczył piosenek, uczniów, rozmaitych wierszy. Ale nam bajek nie czytano. W szkole też były dwa razy w tygodniu, po godzinie śpiewy. I to śpiewy patriotyczne. Prawda? Uczenie wierszy? Ja chodziłam do szkoły na Kazimierzowską róg Narbutta. To była nowoczesna szkoła. Taka, że nawet po gimnastyce szliśmy pod prysznic. Więc tak, tak, to była taka szkoła. I tam ten budynek stoi, on jest. Ja, ja wszystkie ścieżki przeszłam w Warszawie. Wszystkie. Tak że, wracając, do Powstania wszystko było dobrze jako tako. Do końca sierpnia i wrzesień była katastrofa. Naprawdę, proszę pana, zabrakło nam wszystkiego: środków higienicznych, lekarstw, miejsca. Już jak zaczęło się Powstanie przekwalifikowano tę lecznicę na punkt sanitarny, to od razu zainteresowało się zgrupowanie. Powiedziało, że tu będą żołnierze, przychodzili kierowani, ranni czy mniej ranni, że na opatrunki i tak dalej, i tak dalej. A na narożniku Boduena i Zgody była kawiarnia Wieczorkiewiczza. Aha, i tam od zewnątrz to była sala i bufet. Sklep był, kawiarnia ze stolikami, ale od strony Boduena była piekarnia i tam, w tej piekarni były kafelki i wszystko było takie. I tam żeśmy urządzili szpital, więc część była tutaj zaopatrywana. A dopóki w tej mojej lecznicy ci państwo doktorowi on i ona nie zachowanie, zachorowali na czerwonkę, i zachorowali na czerwonkę. Bo ta czerwonka zaczęła się rozprzestrzeniać, bo wszyscy zaczęli chodzić do rozmaitych zbiorowych ubikacji. Czego ja nie robiłam. Ja tego nie robiłam. Ja wciąż biegałam na to piąte piętro do tego swojego domu, żeby tam się umyć, bo tej wody miałam w wannie. Ja się umyłam w szklance wody, i umyć, załatwić. I kiedyś chciałam sobie przesunąć tą moją koleżankę z pokoju do przedpokoju, bo sobie dumałam, że w przedpokoju to ja mam tutaj ściany, a tu ściany. To jak nawet będzie zbombardowany dom, to przedpokój będzie, prawda? Jak ja o tym powiedziałam swojej cioci, to moja ciocia powiedziała: „Absolutnie nie ma mowy, absolutnie!”. Moja ciotka się bardzo załamała w Powstanie. Dlaczego? Dlatego, że tak jak powiedziałam panu na początku, że miała córkę młodszą ode mnie o 5 lat, a wyszła bardzo późno za mąż, i to takie było dziecko wymarzone. A z tej racji, że właśnie tego wuja nie było, to ona chodząc do szkoły podstawowej w czasie okupacji została objęta wyjazdem na kolonie, a to był ten okres wakacyjny, więc wysłali tą córkę do Stożka na wakacje. I teraz ciocia nie wie co się z mężem dzieje i nie wie co się z dzieckiem tym jej dzieje. Ona się tak załamała, że powiedziała do mnie tak: „Jak ty mnie zostawisz, to ja zginę”. No więc ja ciągle byłam przy tej swojej ciotce. W tej piwnicy miałam rozstawione takie polowe łóżko, a rannego miałam tutaj obok, w przejściu, na takim takim żelaznym łóżku. Takie były żelazne łóżka, z takimi.., bo pamiętam, że on miał takie długie nogi. To łóżko było dla niego za krótkie i prawdopodobnie tak to sobie w tej chwili wyobraża, bo był ranny w nogi. I ja w tej piwnicy go w piwnicy podarowałam, a na górze miałam to laboratorium tego pana doktora. No i okazało się, że zgrupowanie „Róg” od razu mieli kwaterę na Zgoda 1, a to była Zgoda 8. Więc to wszystko było bliźniutko. I to wszystko się tak ładnie ułożyło, że ja się tam cały czas do Powstania, aż do kapitulacji utrzymałam. Początkowo, w styczniu, w sierpniu były Msze Święte. Co dzień, co dzień na podwórkach, pod trzepakiem i przy śmietnikach. Ale tam wszędzie były te małe kapliczki. Przychodził ksiądz, ale to były pierwsze dni sierpnia. Schodziliśmy się takim półkolem. I co? Bardzo się odpowiadało, że dostawaliśmy jako

dziecko, dziewczynka odpuszczenie grzechów ogólnie, bez spowiadania się. Bez spowiadania wszyscy mogli przystępować do Komunii Świętej. Ale to tylko pierwsze 10 dni sierpnia. Później okazało się, że gdzieś na którymś podwórku byłyby jakieś płyty, a nie beton, to się podnosiło i robiło się z tego podwórka cmentarz. I w tych pierwszych dniach chowaliśmy naszych chłopców jeszcze w trumnach. Z nazwiskami, z krzyżem, nawet wystrzałem jednym. Żegnaliśmy go, a po 10 [sierpnia] zawijaliśmy w jakieś kapy z butelką, z kartką w środku, gdzie popadło, gdzie tylko jakieś miejsce było, gdzie można było wykopać dołek, to tam się chowało. I to było straszne. I wiercie mi panowie. Znacie historię mojego wychowania. Ja w pewnym momencie straciłam wiarę. I powiedziałam, żeby Pan Bóg był, to by tego nie było. Nie mieliśmy co jeść. Łapaliśmy wszystkie psy, wszystkie koty, wszystko, co się ruszało. Chłopcy zdobyli magazyny Habermuscha. Tam był jęczmień, bo to była wytwórnia piwa. I jeden mój brat, który było te dwa lata młodszy ode mnie, a był też brat udział w Powstaniu, i on był po drugiej stronie Marszałkowskiej, u tamtej cioci, gdzie Plac Konstytucji teraz jest. Ale oni przychodzili na naszą stronę. Na północ, po drugiej stronie Alei Jerozolimskich, do tego Habermuscha. I w workach nosili ten jęczmień, prawda? I mój brat zawsze przychodził do tej mojej jednostki na Zgoda, pan dozorca miał przygotowane naczynia i każdy z tych chłopaków coś tam dla nas otrzymywał z tego transportu, który nosili na tę południową stronę, bo to była podzielona Warszawa: na północ, to ja byłam na północy, a mój brat był na południu. Na Marszałkowskiej przy Placu Zbawiciela. I on tam musiał ten jęczmień zanieść, i tam. No więc oni tam zasypywali tego jęczmienia, a ten pan dozorca to jakoś tam młotkiem czy czymś tam tłukł, wysłuchiwał, co się tam w takich kotłach do prania bielizny, jak się gotowało bieliznę. W tych kotłach na podwórku gotowało się taki klej. No i ten klej się jadło. I tak siadaliśmy dla dowcipu po jednej stronie, to nad drugą, na drugą ścianę żeśmy pluli. No bo nie wszystko się dało połknąć, tak? A jak, broń Boże, któryś w misce zobaczył, że jest jakaś kostka, jak to młodzi, zapytał się: „A coś ty wrzucił do tej zupy?”. – „Jak ci nie smakuje, to nie jedz”. Co było pod ręką, to..., to wrzucali. No taka była sytuacja. Nie w każdej dzielnicy, bo ja byłam tutaj w Szczecinie. W takim klubie od 1989 roku już. W Warszawie, wcześniej na Starym Mieście, właśnie w tym zgrupowaniu jeździłam do Warszawy na zebrania, na wybory, a potem się przenieśliśmy członkostwo do Szczecina, jak tutaj powstało, ZBOWiD nas przyjął w 1989 r. tak do siebie tę jednostkę krakowską i powstańczą. W Szczecinie tutaj było bardzo dużo osób. Na pierwszym zebraniu było nas ponad 210 osób. Do klubu przystąpiło, mogło przystąpić tylko 3. Ci, którzy mieli ten Medal za Powstanie, to się zgłosiło 70 osób. Dzisiaj jest nas 3 osoby. Tak to wygląda i ja w tym tkwiłam całe 40 lat i stąd u mnie taka wiedza. Takie przemyślenie. Tyle poznałam ludzi przez te 40 lat, Warszawiaków, wspaniałych, życzliwych, serdecznych, oddanych sprawie.